Mont Blanc „Drogą Papieską”

Cel – Monte Bianco (4808 m n.p.m.)

Kiedy – 25-31 lipiec 2015

Kto – Dziku & Aga & Grzechu & Marcin

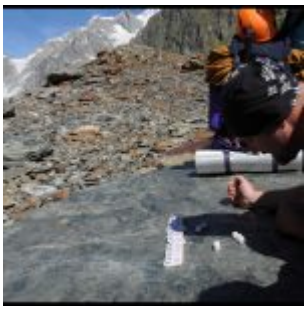
Tekst i zdjęcia – Dziku



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Piszą w periodykach

Droga na Mont Blanc od strony francuskiej przez ostatnie tygodnie jest „zamknięta”. Nie wiem dokładnie na czym w praktyce polegało to zamknięcie (szlaban? tabliczka? drut kolczasty?) , ale na pewno było to podane do publicznej informacji. Zresztą, zerknijmy do sieci:





A więc co najmniej 2 wypadki śmiertelne w „kuluarze śmierci” pod Gouterem. Why? Spadające kamienie. Why? Because ciepło. Bardzo ciepło – czasem zero stopni dopiero na 4800 metrach. Czyli podsumowując: rosyjska ruletka przy pięknej pogodzie na „najłatwiejszej” drodze. Na tej, co to nią ponoć dzieci i staruszki wchodzą. Przynajmniej w opinii tych, co o zdobywaniu alpejskich szczytów wyobrażenia nie mają i tyle wiedzą, ile na niefachowym portalu wyczytali. A jak się kiedyś wybiorą to się przekonają, co to znaczy względność. Bo podczas akcji górskiej wszystko jest względne. Jedno i to samo może pomóc i zaszkodzić. Nadmiar i niedobór jedzenia, wychłodzenie i przegrzanie, towarzystwo i brak towarzystwa, strach i odwaga. Jedynie nie potrafię dla odwodnienia dobrać pary. Bo w górach

nie da się wypić za dużo. No chyba, że przypomnę sobie wmuszanie we mnie przez Agę kubka herbaty na Kazbeku, co się natychmiastowym rzygiem skończyło.

Którędy na szczyt

My nie chcemy przekładać wyjazdu i zamknięciem francuskiej drogi wcale się nie przejęliśmy. Weszliśmy na Mont Blanc w 2009 od strony włoskiej – wejdziemy i teraz.
W składzie oprócz mnie: Aga, Grzechu i Marcin. Doświadczenie alpejskie: od „zielonka" do osób doświadczonych. Oczywiście mierząc to miarą ilości wyjazdów i wejść na alpejskie szczyty, bo raczej nie miarą obycia ze sprzętem. Ja i Aga to zgrany duet, na koncie mamy już sporo szczytów. Wśród największych przygód wymienię taniec z czterotysięcznikami na Monte Rosa w 2011, zimowe wejście na Mont Blanc w 2012 oraz picie herbatki na 7134 m n.p.m. w 2013. Ta zimowa przygoda z Mont Blanc to skończyła się dobrze jedynie jakimś fartem. Wtedy się nie bałem, a dziś myśląc o tym boję się jak diabli i nie sądzę, bym się drugi raz na coś takiego pisał.
Słabą stroną naszego duetu jest to, że jesteśmy teraz małżeństwem, więc czasem kłócimy się o duperele. Ale bez przesady – w końcu góry to to, co nas połączyło, i to na tyle mocno, że zaledwie tydzień lub dwa tygodnie przed tym wyjazdem począł się nasz syn. Sam się począł, bo trochę nieplanowanie. Dlatego też na wyjeździe, który tu opisuję jeszcze nie mamy o tym pojęcia.
Kolejny członek ekipy to Grzechu, dusza bardziej podróżnika niż alpinisty. Ale to gość, który w ostatnich miesiącach wszedł na 3 pięciotysięczniki. Najpierw przykładnie z ekipą zaliczył Kazbek w Gruzji, a następnie ekipę i sprzęt odesłał do domu, a sam, *w sandałach (jak to Grzechu)* wszedł na Damawand i Ararat. Przygód z tego wyjazdu mógłbym słuchać i słuchać. Zresztą do tej pory jak widzę bigos z Lyofooda to przypomina mi się Grzech, któremu bigos ten na wysokości wylatywał wszystkimi otworami, łącznie przez nos.
No i Marcin – harcerz z Bieszczad. Marcin jest trochę jak Laura w 2009 roku, kiedy to też wchodziliśmy „Drogą Papieską".

Czyli bez doświadczenia wysokogórskiego, ale wspaniale zmotywowany i silny. Różnica jedynie taka, że Laura to raczej sportsmenka, a u Marcina z regularnym treningiem to w tym okresie było nie po drodze. W każdym razie pokazał, że można wejść na najwyższy szczyt Alp stosując trening polegający na chodzeniu w gumiakach z psem wokół domu.
Etap aklimatyzacji na Gran Paradiso na razie pominę i skupię się na wejściu na ten główny cel – Monte Bianco.

Start

27-go lipca przyjeżdżamy na pole namiotowe do Courmayeur. Mamy już z trasy okazję zerknąć na nasz cel od południowej strony. Kawał bydlaka:



Mont Blanc od południowej strony

Na polu namiotowym robimy szkolenie pt. „jak wyjść ze szczeliny". Nikt z nas jeszcze ze szczeliny nie wychodził, ale tak na chłopski rozum to można sobie wyobrazić jak to jest i co należy zrobić: w pierwszej kolejności należy ściągnąć buty i skarpetki, następnie rozebrać się do bokserek, zawisnąć w

uprzęży i zapierając się o drzewo wołać do przejeżdżających samochodów.



Szkolenie lodowcowe

Tak, teraz możemy spać spokojnie i na drugi dzień bogatsi o zdobytą wiedzę ruszyć do boju. Ale najpierw to pojedziemy na pizzę, bo w końcu to Włochy.
Rano 28-go lipca podjeżdżamy nieco samochodem, po czym ruszamy z wyładowanymi plecakami. Początkowo droga do Combal – wygodna, szeroka, przejezdna dla samochodów. Potem wdrapujemy się na lodowiec morenę lodowca Miage – tu zaczyna się nasza droga krzyżowa. 5km człapania i wyszukiwania drogi wśród olbrzymich bloków skalnych i drobnej kruszyzny, które wypełniają każdy fragment lodowca. Pod kamieniami lód i szczeliny, do których spadają trącone głazy. Dziś jednak jesteśmy wypoczęci i zmotywowani widocznym na skale punktem – to schronisko Gonella (3071 m). Nasz cel na dziś to dotrzeć do niego i gdzieś w jego pobliżu rozbić namioty.
Po przeczłapaniu lodowca Miage mamy do pokonania 500 metrów

przewyższenia wspinając się ubezpieczoną stalowymi linami i klamrami ławą drogą wspinaczkową. Łatwą dla ludzików z lekkimi, małymi plecaczkami, my niestety znów dźwigamy toboły. Może nie jesteśmy tak drastycznie dociążeni jak w 2009, ale i tak wory powodują duży dyskomfort. Błędem było nie zabranie wody do bidonu u wejścia w skałę. Letnie słońce dało popalić i kiedy po paru godzinach docieramy do schronu Marcin jest praktycznie odwodniony. Wiele by dał za kroplę płynu, lecz niestety po drodze skały były zupełnie suche i nie minęliśmy żadnego cieku wodnego. Marcin przeżył na końcówce traumę, natomiast Aga zadowolona – podobało jej się to karkołomne podejście, pomimo sporego obciążenia na plecach.



W odnowionym schronie przy schronisku Gonella zostajemy przez dwie noce. Potrzebujemy regeneracji, poza tym pogoda nie zachęca do wyjścia wyżej. Nie znalazłem też w pobliżu żadnego miejsca na namiot, więc nie było wyboru – decydujemy się zapłacić za 2 noclegi. Tylko, że… naszym zwyczajem – nie mamy gotówki! Marcin nas ratuje, bo dokonuje operacji i akrobacji by przetransferować pieniądze z konta na konto innego

schroniska. Ci potwierdzają, że przelew dotarł i uff… nikt nas na deszcz i na lodowiec nie wyrzuci, a my możemy spędzić cały następny dzień na graniu w gry typu robaczki, karciany tysiąc i Dobble.

Odmieniony lodowiec

Jest przedostatni dzień lipca 2015 roku. Kluczymy między szczelinami, coraz mniej pewni siebie. Przeżywam, że lodowiec po raz kolejny nam sprawia niespodzianki. Już w 2009-tym stwierdziłem, że opisy drogi sprzed lat można do szczeliny wrzucić. Teraz w 2015-tym to znów inna bajka. Czemu tu się dziwić, skoro tak stromy lodowiec jak ten każdego dnia wygląda nieco inaczej, to cóż dopiero, kiedy się go widzi raz na 6 lat. Parokrotnie znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, szukając wyjścia z labiryntu szczelin. Jeden moment szczególnie zapadł mi w pamięci, kiedy to stojąc na olbrzymich lodowych blokach dotarliśmy w ślepy zaułek. Nie sposób było przeskoczyć na drugą stronę i musieliśmy wrócić niżej by poszukać innej drogi. Podczas całej tej eskapady nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Byłem tak skupiony prowadząc grupę, że nie chciałem niczym się rozkojarzyć. Zresztą, najnormalniej w świecie bałem się. Chcę okazać górze najwyższy respekt, a manewry między szczelinami z aparatem w ręce mogłyby wyglądać nieco lekkomyślnie. Zresztą, sytuację w jakiej się znaleźliśmy w pełni oddałbym tylko filmując nas z wysokości, np. z drona.



Ludzie na takim lodowcu to drobinki

Obóz

W końcu docieramy w pobliże grani i rozbijamy obóz pod kamieniem, który jest rozmiarów naszego namiotu. Jest to wysokość około 3700 m, jednak czujemy pozytywny wpływ aklimatyzacji i troje z nas decyduje się popołudniu na dalszą wspinaczkę. Zwiad ma na celu odnalezienie drogi na przełęcz Aig. Grises (3810 m) i przejście kawałka grani w celu oceny warunków. Sprawa nie jest taka oczywista, jakby się wydawało. Lodowiec znacznie „osiadł” i aby przedostać się z niego na przełęcz, trzeba trochę pokombinować. Istotna informacja jest również taka, że nikt poza nami (podobnie jak to było w 2009 roku) tą drogą na szczyt w tym czasie nie wchodził. Jedyne ślady jakie widzieliśmy to te, które zostawił przewodnik z klientem schodzący na włoską stronę. Wejścia na szczyt dokonali oni normalną drogą od Chamonix. Ci jednak kluczowe miejsce ze szczeliną oddzielającą nas od stromego lodu prowadzącego na przełęcz pokonali zeskakując na niższy poziom. My do góry na kilka metrów nie podskoczymy, a przewieszony lód

skutecznie broni się i nie puszcza nas dziabiących go prostym czekanem. Ostatecznie decydujemy się na wejście żlebem od prawej strony. Pokonujemy ten paskudny teren z sypiącymi się kamieniami i skręcamy w prawo w kierunku grani Bionassey. Sam szczyt Aiguille de Bionnassay (4052 m) przed nami prezentuje swoje wdzięki niczym Beyonce na okładce płyty, a doskonałym uzupełnieniem widoku jest dwójka wspinaczy podążająca krawędzią grani.



Bionassey nazwaliśmy Beyonce

Penis na lodowcu

Wracając ekscytujemy się widokiem naszego namiotu na powierzchni lodowca pod nami. Ale zaraz, co to? Za namiotem widzimy zarys wielkiego członka wydeptanego w śniegu. Malutki z tej odległości Marcin człapie po jego konturach. Musiał się nasz przyjaciel lepiej poczuć, skoro podjął się tak ryzykownego i twórczego zadania. Aga krzyczy z całych sił, by wrócił do namiotu, bo do szczeliny wpadnie. Marcin niechętnie

zawraca, a jak nam później się zwierzył, było mu smutno bo nie wydeptał kropki na końcówce. No to by było tyle, jeśli chodzi o nieurażanie góry. Zmartwiłem się przez chwilę, że góra się za to zemści, ale przecież Mont Blanc nazywany jest… Białą Damą! Taki malunek to nie kręgi w zbożu, więc powinien się Damie spodobać a wręcz ją ułaskawić.



Widok z namiotu

Atak szczytowy

Nad ranem przeprowadzamy atak szczytowy. Jeszcze po ciemku wchodzimy na przełęcz i pokonujemy ostry jak brzytwa fragment grani.skalna gran! Idziemy niezwiązani liną, więc każdy odpowiada za siebie. Trzeba najostrożniej jak tylko się da stawiać każdy krok. Pomimo ciemnej nocy mamy świadomość pustki pod nogami. Potknięcie, upadek wiązałby się z lotem setki metrów w dół, nie do przetrwania w jednym kawałku. Po wyjściu na plateau na wysokości 4 tysięcy metrów teren nie wydaje się być już niebezpieczny. Białe pole pięknie oświetla księżyc, a

niebawem nasza droga połączy się z tą od strony Gouter. Tam już widzimy sznur czołówek, gdyż jak się okazuje wczoraj odblokowano trasę i ponownie ruszyły tamtędy liczne ekipy. Najbardziej teraz dokucza wysokość. Już koło godziny 6-tej stoimy przed Vallotem. Tutaj Marcin zostaje na dłużej ze względu na kupę. Ta kupa mogła całkowicie pokrzyżować plany, ponieważ opóźnienie z nią związane fatalnie wpłynęło na psychikę właściciela. Kiedy zdyszany uporał się z uprzężą, zobaczył dwa oddalające się punkciki – to Aga i Grzechu stąpający już po grani Bossons. Pomiędzy nimi a Vallotem kolejny punkt – to Dziku robiący zdjęcia. Jak tam dojść? Jak ich dogonić? Ten kryzysowy moment jednak przezwycięża i krok po kroku zbliża się do upragnionego celu. Ten ostatni odcinek sprawia mu sporą trudność, ale cóż się dziwić – jesteśmy powyżej 4500 m i w płucach po każdym kroku brakuje tlenu. Wydolność organizmu na tej wysokości spada o kilkadziesiąt procent nawet u zaaklimatyzowanej osoby.



Krajobraz księżycowy

Przed 9-tą stajemy na szczycie. Nie pamiętam już dokładnie co wtedy czułem, ale na pewno mocno ścisnęło mi gardło. Choć od początku wiedziałem, że Marcin da z siebie wszystko, żeby osiągnąć szczyt i że jest on niezwykle silny i wytrzymały, to jednak rozpiera mnie duma widząc, czego dokonał. Ściskamy się i gratulujemy, lecz z tyłu głowy wciąż kołacze się myśl, że przed nami długa i niebezpieczna droga w dół. Na ostateczne ogłoszenie zwycięstwa przyjdzie czas przy samochodzie. I w życiu bym się nie spodziewał, że nastąpi to jeszcze tego samego dnia, że wieczorem wykończeni znajdziemy się na parkingu 3300 metrów niżej.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”

Powrót

Ze szczytu schodzimy tą samą drogą, jednak teraz zamiast księżyca świeci nad nami słońce. Zejście granią nie stanowi problemu, chociaż pamiętam poślizgnięcie i zachwianie się Marcina, które mogło się skończyć tragicznym upadkiem gdzieś

do stóp góry po włoskiej stronie. Grań Bossons, którą przechodziłem już kilkakrotnie nie stanowi jakiegoś specjalnego zagrożenia. Nie ma na niej niebezpiecznych nawisów i jest na tyle szeroka, by mogły się na niej mijać zespoły. Jednak należy być tam nieustannie czujny i nie można dać oszukać psychiki, tym bardziej, że przy zejściu zwykle spada koncentracja i następuje rozluźnienie. Dodatkowo w naszym przypadku nadal kontynuujemy marsz w stylu „z pogardą dla sprzętu”, tzn. idziemy niezwiązani liną. Ma to szczególne znaczenie po dojściu do ostrej grani prowadzącej na przełęcz Grises. Tutaj idziemy lodowym stokiem tuż poniżej ostrza grani, stok jest stromy a nasze kostki niemiłosiernie powyginane. Jestem zestresowany poczwórnie – jeśli ktoś się poślizgnie, potknie – to dla tego kogoś koniec. Na zatrzymanie się na takim stoku pojedynczej osoby szanse są znikome. Jeśli ześlizgnąłby się cały zespół szarpnięty przez linę, która go wiąże – szanse oceniam jako zerowe. Dlatego idziemy wiedząc, że należy skupić się na sobie i tylko na sobie. A dokładnie na tym, jak stawiamy stopę, jak zęby raków wbijają się w lód. Jednak idąc jako ostatni i obserwując swoją kompanię nie potrafię pozbyć się uczucia troski o nich. Wyciągam aparat i robię zdjęcia. Inaczej niż to było na lodowcu tym razem nie widzę nic w tym niewłaściwego. Teraz droga jest jasna i każdy wie co ma robić i niewiele ode mnie zależy.



Decyzja

W końcu dochodzimy do przełęczy i szybko schodzimy do namiotów. Tutaj śmiechy i popas – odpoczynek, obiad i regeneracja, zakłócone jedynie kamienną lawiną. To była sytuacja dziwna, warta wzmianki. Bo kiedy tak chłopaki żartowali przed namiotem a ja z Agą oporządzaliśmy się w wejściu do naszego lokum – nagle zobaczyliśmy jak oni w niekompletnym ubraniu i bez butów zbiegają w dół lodowca. Zdezorientowany rozglądam się i widzę jak powyżej, zaraz obok miejsca, którym wchodziliśmy na przełęcz spadają skały. Lecą w kierunku namiotów, lecz znikają w szczelinie brzeżnej. Chłopaki po kilkunastu krokach zatrzymują się i wracają. Jesteśmy nadal bezpieczni. Ale czy na pewno? Ktoś podejmuje decyzję, że lepiej jeszcze dziś zacząć schodzić. Jest godzina 14-ta… czemu nie?

Nowa pozycja w apteczce

Lodowiec pokonujemy w dół bez większych problemów. Schodząc jest z reguły łatwiej, bo więcej widać i łatwiej się szczeliny

przeskakuje. Dochodzimy do schroniska Gonella, gdzie para turystów pakuje się z plecakami do helikoptera zaparkowanego na platformie. Kusi mnie by zapytać o miejsce dla Agi, jednak nie podejmuję się takich pertraktacji z pilotem. Helikopter odlatuje i za chwilę wysadzi turystów w mieście, podczas gdy my… właśnie wchodzimy na naszą drogę krzyżową. Pokonujemy 500 metrów przewyższenia po skałach i śniegu i schodzimy na lodowiec Miage. Po paru kilometrach Aga się ledwo wlecze. Proponuje nocleg pod kamieniem na tym skalnym rumoszu. Wybijamy jej to z głowy ze względu na kiepską prognozę pogody. Co, jeśli w nocy zacznie lać i będzie padało cały dzień następny? Aga nie daje za wygraną i nie chce kontynuować marszu. Doprowadza mnie tym do szału, bo choć też jestem bardzo zmęczony to kieruję się głównie logiką. Definicji słowa empatia wyszukam dopiero po powrocie do domu. Ale nawet, gdybyśmy zsumowali empatię naszą, tzn. trzech facetów, to nie jesteśmy w stanie poczuć się w skórze Agi, której zachowanie nietrudno wytłumaczyć ze względu na…

> *Wskazówka i morał: w apteczce każdego alpinisty powinien znajdować się obok plasterków i koca termicznego – test ciążowy!*

Już w zupełnych ciemnościach docieramy do asfaltu. Pakujemy się do auta i jedziemy na pole namiotowe. Leje deszcz więc rozkładamy się na karimatach na podłodze baraku jadalni.

Epilog

Głównym motorem napędowym tego szalonego zejścia i pokonania 3300 metrów przewyższenia był Marcin. Ten manewr był o tyle ważny, że ulewa, która zaczęła się w nocy była niemiłosierna. O prognozie wiedzieliśmy, ale żeby zdobyć się na taki wysiłek w zejściu trzeba było czegoś więcej. Dziś nawet Aga przyznaje, że była to dobra decyzja. Marcin był osobą, która dała impuls do organizacji tego wyjazdu, w którym 4 osoby od początku zaprogramowane były na świetną zabawę i sukces. Sukces okupiony wielkim wysiłkiem psychicznym i fizycznym. Po co? Bo

jak pisał Wiktor Ostrowski w 1935 roku:

> *Trzeba przynajmniej raz zakosztować życia, w którym wszystkie wartości są odwrócone: pieniądz ma nie większą wartość niż otaczające Cię kamienie, rzeczy ważne przestają Cię obchodzić zgoła, liczysz tylko na siebie, a zamiast wszystkich tomów kodeksów praw masz tylko jedne, jedyne, ale to niezłomne prawo – BRATERSTWO LINY, którą jesteś w czasie podniebnej wędrówki związany z towarzyszem-przyjacielem!*

Relację tę kończę pisać o dosyć nietypowym czasie, tzn. o godz. 23:55 w dniu 31.12.2018, tym samym ożywiając wspomnienia i życząc sobie w Nowym Roku kolejnych górskich przygód tej klasy.

Dziku



W komplecie na szczycie

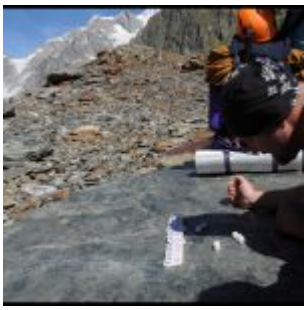
Hochfeiler/Gran Pilastro (3509 m)



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Wspomniałem w jednej z relacji o próbie zdobycia Punta Bianca, dlaczego by zatem nie napisać paru słów o wejściu na inny 3-tysięcznik? Tym bardziej, że sam szczyt jest jeszcze wyższy od Punta Bianca, właściwie – najwyższy w całych Alpach Zillertalskich. No i było to zaledwie na dzień przed naszymi przygodami na Gliederferner.

4-ty sierpień 2018-go roku. Trzeci zakręt na drodze prowadzącej na przełęcz Pfitscher Joch. Jest już dzień, a pogoda od rana zapowiada się piękna. Pomimo, że za nami całonocna jazda, to jedynie przepakowujemy plecaki i około godziny 9-tej ruszamy pieszo drogą pod górę. Nie czas na odpoczynek. Z tego typu weekendowych wyjazdów wyciskamy tyle, ile trzeba. Tyle, ile chcemy.

Trasa prowadzi uroczą doliną, idziemy ścieżką trawersując stromy grzbiet. Pod nami, dnem doliny płynie strumień, a wzdłuż niego inny szlak. Widzimy tam kolorowy tłumek złożony z innych wędrowców. Nie wiem dokąd prowadzi ich droga, ale my po około 4 godzinach znajdujemy się już w pobliżu schronu przy nieczynnym schronisku Hochfeiler Hütte. Wysokość – „zaledwie” 2710 m n.p.m., a już daje się we znaki. Do budynku docieram pierwszy. Przed wejściem do schronu siedzi spora grupa. Dziewczyna pyta się mnie, czy zostaję tu na noc. Odpowiadam, że tak, a ona na to: „powodzenia!”. Widząc moje zdezorientowanie tłumaczy, żebym zerknął do środka. Zaglądam i łapię dowcip: na stole leży magazyn Playboy. Nie zdążyłem dojść do rozkładówki, kiedy dociera reszta grupy. Odpoczywamy,

jemy i… decydujemy się na wejście na Hochfeiler – nasz główny cel.

Trasa od schroniska prowadzi krótkim odcinkiem na pobliski grzbiet i właściwie potem do końca grzbietem tym dostajemy się na szczyt. Nie ma gdzie zabłądzić, nie ma gdzie spaść. Dopiero sama końcówka dodaje nieco emocji. Szczególnie mi ciśnienie podnosi jeden z przewodników. Grupę wprowadzał i sprowadzał przywiązując bardzo dużą uwagę do asekuracji. Nie mam co do tego absolutnie żadnych obiekcji, nie lubię jednak, kiedy ktoś chce mnie samego wiązać liną w miejscu, gdzie czuję się tak samo bezpiecznie jak na schodach 7-mio piętrowca na wrocławskim blokowisku.

W rakach, jak należy, a nawet z czekanami około godziny 16:40 stajemy na szczycie. Zaledwie 8 godzin od przyjazdu zrealizowaliśmy nasz główny cel. Tego dnia przeszliśmy 13 km, z czego ponad 11 pod górę, a większość z tego ciężkimi plecakami. Dla trójki z nas jest to pierwszy trzytysięcznik. Brawo!

Schodzimy do schronu. Pojawiają się inne grupy i robi się ciasno. Zwalniamy zatem zajęte łóżka w „głównej” komorze i idziemy do „kurnika”. Tu zajmujemy dwa łóżka i podłogę. Miejsce wykorzystane w 100%, nic już więcej się tu nie zmieści. W pierwszej komorze również podłoga zajęta, więc kiedy nocą wychodzimy się hurtowo we trójkę wysikać uważamy, żeby nie podeptać innych turystów.

Zmęczenie i brak dostępu światła (nie mówiąc o tlenie) robią swoje. Śpimy jak zabici. A dalszy ciąg tutaj.

tekst: Dziku

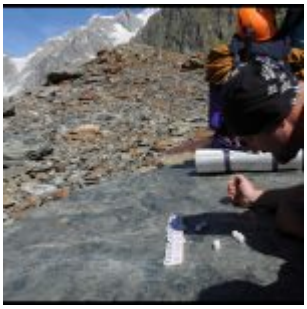
Silvretta



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

To się po prostu kocha…

Tekst: Łukasz Jankowski

To był fantastyczny wyjazd. Kolejny cel osiągnięty. Od jakiegoś czasu marzyłem o wyjeździe w Alpy – na lodowiec. Pragnąłem doświadczyć, co oznacza *wejście na lodowiec*. Jak mówią – do trzech razy sztuka. Także i w moim przypadku to się sprawdziło, ponieważ na pierwszy planowany wyjazd nie dostałem urlopu. Drugie podejście, to załamanie pogody. Trzeci raz w tym roku, udaje się wszystko. Jedziemy. Prognozy są dobre, ekipę na wyjazd udaję się skompletować.

Nadszedł piątek 21:00. Nasz szef wyprawy „Dziku", wraz ze swoim doświadczonym alpejsko kolegą Tomkiem, wpadają po mnie i Magdę. Pakowanie, wsiadamy do auta i ruszamy do Austrii. Po drodze zgarniamy jeszcze Sławka. Mamy już komplet. Droga nocą jest pusta, także mija dość szybko i po 10 godzinach jesteśmy w miejscu docelowym na parkingu. Szybkie śniadanie, pakowanie plecaków i ruszamy około 7 km do schronu z 20-to kilogramowymi plecakami na plecach. Po około dwóch godzinach jesteśmy na miejscu. Tam chwila odpoczynku, przepakowanie i ruszamy na pierwszy szczyt. Początek całkiem przyjemny, kamienista ścieżka. Po jakimś czasie docieramy pod ten niesamowity lodowiec. Czas założyć raki, uprząż, kask, czekan w rękę i do boju. Wiążemy się liną i ruszamy w górę. Po jakimś czasie kończy się lodowiec, nie było tak strasznie. Zaczyna się skalista grań, a więc to za czym nie przepadam. Idziemy dalej, związani liną, krok po kroku, zabezpieczani przez Dzika i Tomka, ciśniemy na szczyt. Docieramy na Dreilanderspitze 3197 m.n.p.m. Szczyt ten, leży w paśmie Silvretta w Alpach Retyckich, na granicy trzech krajów: Szwajcarii, Austrii i Tyrolu.

Na górze kilka fotek, odpoczynek, picie, jedzonko i powrót znowu tą paskudna granią. Powoli, krok po kroku, udaje się szczęśliwie zejść, dalej lodowiec – czyli raki na nogi, czekan w dłoń i powoli schodzimy w dół. Po jakimś czasie zaczyna się

skalista ścieżka do schronu. Szczęśliwi, że udało się w tak ciężkich warunkach zaliczyć szczyt po nocy spędzonej w aucie, schodzimy do schronu. Tam czeka nas niespodzianka – w schronie nie ma miejsca na nocleg. Chwila zastanowienia, zostać w schronie, czy zejść do auta na noc? Błyskawicznie podejmujemy decyzje – prześpimy się na podłodze. Noc mija bardzo szybko, byliśmy zmęczeni, a podłoga nie była aż taka zła. Nadchodzi ranek, w schronie ruch, a więc my także szybkie śniadanie, ogarnięcie się, spakowanie plecaków i ruszamy na nasz kolejny szczyt – Piz Buin.

Zaczyna się niewinnie, ścieżka w skałach pod górę, następnie wejście na przełęcz. W oddali widzimy, że lodowiec strasznie topnieje i ogromna część oberwała się zagradzając szlak. Kilkutonowe bryły lodu nie pozwalają na przejście. Musimy zejść dużo niżej, aby to ominąć. Tracąc sporo wysokości, znajdujemy ścieżkę, którą postanawiamy ruszać dalej. Jesteśmy sporo opóźnieni przez te seraki lodowe. Po jakimś czasie docieramy do lodowca, a więc znowu raki na nogi, czekan w dłoń. Związujemy się liną i ruszamy. Przed nami ściana lodu. Trzeba ogromnie uważać, bo jeden błąd i wszyscy spadają. Czeka nas wspinaczka, z całej siły wbijanie przednich zębów raków w lód, asekuracja czekanem. To było mega obciążenie nie tylko fizycznie, ale także psychicznie. Jeden zły ruch i wszyscy lecą. Po kilkuset metrach teren troszkę się wypłaszcza, ale za to pojawiają się lodowe szczeliny. Opóźnienie było tak duże, że zastanawiamy się czy zdążymy wrócić przed zmrokiem. Tak więc bez zatrzymania, krok za krokiem, związani liną gonimy w górę by zdobyć kolejny zaplanowany szczyt. Według planu jeśli do 15:00 nie zdążymy to trzeba zawracać. Mocno zmęczeni o 13:00 docieramy na przełęcz. Tam zaczyna się wspinaczka, tak więc czas trochę odpocząć, napić się i pożywić. Ruszamy w górę, nadal związani liną, krok za krokiem, asekurowani podążamy w górę. O 14:40 docieramy na Piz Buiin.

Zmęczony, szczęśliwy, UDAŁO SIĘ. Jestem na wysokości 3312 m n.p.m. To było moje marzenie. Wpisuję się do książki, która

znajduje się na szczycie, kilka zdjęć i w drogę. To przecież jeszcze nie koniec, ponieważ trzeba wrócić do schronu. Część trasy powoli schodzimy, potem najtrudniejszy fragment, Dziku opuszcza nas na linie i po jakimś czasie jesteśmy z powrotem na tym niesamowitym lodowcu. Nie mamy za wiele czasu, tak więc łyk herbaty, ubieramy raki i w drogę. Trzeba uważać, ponieważ co jakiś czas pojawiają się szczeliny, ale trasa mija całkiem spokojnie i znowu dochodzimy do tej lodowej ściany. Na szczęście po kilkudziesięciu metrach udaję się zejść na skałę. Wtedy skałami obok tej lodowej ściany schodzimy w dół. Droga się dłuży, ale powoli, powoli schodzimy do tych lodowych seraków. Udaje się wypatrzeć inną ścieżkę, na którą kierujemy się aby iść dalej. Niestety znowu podejście do schroniska. Po jakimś czasie, kiedy wydaje się że schron jest tuż, tuż, nagle kolejny wąwóz. Trzeba ponownie zejść kilkadziesiąt metrów w dół i podejść w górę. Każdy jest już bardzo wyczerpany po tak ciężkim dniu, ale szczęśliwy ponieważ chwilę po 18:00 udaje się dotrzeć do schronu. Wspaniały dzień, wspaniała ekipa. Teraz czas na posiłek i zasłużony sen. W niedzielę schron już był pusty, także spokojnie poszliśmy spać. Poniedziałek rano, podejmujemy decyzje, że schodzimy do auta i wracamy do domu. Droga powrotna także mija szybko, bez żadnych korków i około 23:00 jesteśmy już we Wrocławiu.

Góry mają w sobie coś niesamowitego. Tego nie da się opisać, to się po prostu kocha. Cele, marzenia i pasje są w naszym zasięgu. Mimo naszych ograniczeń, jakimi życie nas obdarza, warto do nich dążyć. Dzięki towarzyszącym mi osobom czułem się cały czas bezpiecznie, fantastycznie zabezpieczany i asekurowany. Kilka lat temu, pewna osoba, Aga zaraziła mnie tą pasją. Dziś Dziku rozbudził mój apetyt. Już marzę o kolejnych wyjazdach.

Tekst: Łukasz Jankowski

Punta Bianca. I o zaletach relacji

Zalety pamiętnika

Planując kolejne alpejskie przedsięwzięcie z cyklu „nigdy więcej” po raz kolejny przekonałem się o zaletach pisemnych relacji. Pamięć po latach zawodzi i tylko dzięki spisanym wspomnieniom jestem w stanie odtworzyć pewne fakty i lepiej przygotować się do kolejnego wypadu. Mogę też przeczytać sobie czarno na białym różne postanowienia i obietnice, jak np. tą, którą powtarzamy po każdym zimowym wyjeździe w Alpy: „NIGDY WIĘCEJ!”. Na szczególną uwagę zasługuje zdanie Tomka wypowiedziane w lutym 2013-go roku leżąc w namiocie przy temp. ok -30 stopni: *„Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę”*. Cała relacja jest do przeczytania TUTAJ. Rzeczywiście, przez długi czas nie jeździliśmy zimą w Alpy. Aż do feralnej wyprawy na Allalinhorna, na którą i Tomek dał się skusić (celowo nie przypomniałem mu, co mówił pod Breithornem i nie walnąłem go w głowę).

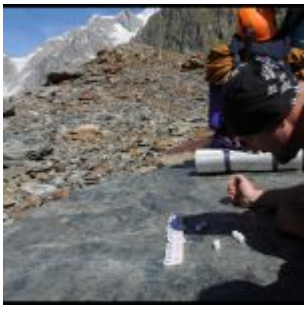
Dlatego też, tradycyjnie popełnię poniżej krótką relację z jednodniowej akcji na Punta Bianca oraz tradycyjnie – zaplanuję zimowy 4-tysięcznik, po którym tradycyjnie będziemy mieli dosyć tego typu akcji (co najmniej do kolejnej zimy).



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Punta Bianca

Wczesne wyjście na lodowiec to podstawa

Jak wiadomo – na lodowiec wychodzi się we wczesnych godzinach porannych. A najlepiej przed wschodem słońca, a najnajlepiej to jeszcze w nocy. Bo lodowiec jest wtedy przymarznięty, bo śnieg się nie lepi do butów, bo komarów nie ma… Dlatego kiedy wstaliśmy do wyjścia, było jeszcze zupełnie ciemno. Jednak zanim znalazłem czołówkę, ktoś otworzył drzwi a ktoś inny głośno oznajmił, że jest godzina 9:40. Na zewnątrz słońce wysoko na niebie, niebo czyste, powietrze cieplutkie. To tylko my w naszym kurniku tkwiliśmy w stanie hibernacji. Tak to jest, jak się śpi we 4 w malutkim pomieszczeniu z odciętym dostępem tlenu i światła. Na lodowiec zatem zejdziemy przed południem.

Lodowiec

Szlakiem od schronu pod Hochfeilerem udajemy się w kierunku wschodnim. Moreną przedłużamy sobie drogę, tak, żeby na lodowiec wejść nieco powyżej tego co sugeruje znakowany szlak. Po wejściu na lód uzbrajamy się w raki, czekany, linę. Dalsza droga to kluczenie pomiędzy mniejszymi i większymi pęknięciami. Zataczamy dwa duże łuki jakbyśmy dzień wcześniej popili. Wszystko po to, by ominąć najbardziej niebezpieczne strefy. To te, które pocięte są lodowymi rozpadlinami. Dzięki temu bez większych problemów zbliżamy się do przełęczy Obere Weißzintscharte. Dopiero tuż pod siodłem, gdzie zalega śnieg, zaczynają się niepokojące przygody. Raz po raz któremuś z nas zapada się noga. Pod warstwą śniegu ewidentnie są puste miejsca. W pewnym momencie Jacek zmuszony jest robić wygibasy, by się wygrzebać z takiego niepewnego miejsca. Wciąż jednak kończy się na zapadniętych nogach. Będzie gorzej.

Grań

Za siodłem podchodzimy do obniżenia w grani prowadzącej na Punta Bianca (Hoher Weißzint) – szczyt o wysokości 3371 m i

nasz cel na dziś. Rozwiązujemy się i dalej, po skalnej grani, posuwamy się do przodu uprawiając łatwą wspinaczkę. Na samym początku mija nas kilka schodzących osób i jeden pies. Pora jest późna więc są to ostatnie osoby, które tego dnia tu wchodziły. Wszyscy oni szli od schroniska z drugiej strony grani, dlatego idą na lekko. Nie musieli przebywać tej samej drogi co my, czyli po lodowcu. Ekspozycja i widoki robią wrażenie. Gdy docieramy do skalnego żandarma w grani, decydujemy się ominąć go od prawej. Przechodzę wąziutką „ścieżką" koło wielkiego bloku skalnego niczego nieświadom. Minąwszy trudności zaczepiam linę i wracam do grupy. Pośredni punkt mocuję do niewielkiej skały opartej o wspomniany wcześniej głaz. Na koniec mocuję jeszcze jeden punkt i Sławek rusza jako pierwszy.

Ostrzeżenie

Przechodząc koło głazu oznajmia, że on się cały rusza i jak go puści to poleci. Albo co gorsza – polecą razem. W tamtym momencie nie wierzę w to co mówi. Jak ważąca tonę skała spoczywająca tam nie wiadomo jak długo miałaby nagle runąć z uczęszczanego szlaku? Kolejne obrazy jak mam w pamięci to to, że Sławek decyduje się podnieść nogę opartą o felerny głaz, ten zsuwa się zabierając kawałek i tak lichej ścieżki unicestwiając ją w tym miejscu zupełnie. Lina zsuwa się po powierzchni skały i ten nie porywa jej. Kamień z ciasno założonym przelotem wysuwa się w dół goniąc za większym kolegą. Rep zsuwa się w magiczny sposób. Sławek stoi gdzie stał na jednej nodze, głaz roztrzaskuje się poniżej. W ścieżce wyrwa. Lina wisi jak wisiała, tylko już z luźnym przelotem. Pomimo tego decydujemy się przejść dalej.

Odwrót

Kolejne kluczowe miejsce to to, gdzie przymocowałem dalszy koniec liny. Pochylone gładkie płyty nie wyglądają zachęcająco. Jak na potwierdzenie zasadności naszych rozterek zbierają się chmury chowając przed nami słońce. Wracać? Tak, dosyć na dzisiaj. Szczyt w odległości paruset metrów, i tylko

40 metrów powyżej miejsca, w którym stoimy. Jednak nie pora już na takie zmagania, tym bardziej, że dostaliśmy wyraźne ostrzeżenie. Wracamy tą samą drogą co przyszliśmy, choć długo spoglądam poniżej grani – mam wrażenie, że tamtędy też jest podejście. Może bezpieczniejsze?

Zwiad

Po powrocie do początku grani, niedaleko siodła Obere Weißzintscharte, zostawiam plecak i wracam w kierunku szczytu. Jednak tym razem poruszam się szybko u stóp grani, a nie jak wcześniej po jej grzbiecie. W 20 minut docieram niedaleko miejsca, z którego zawróciliśmy. Czy jednak dałbym sobie coś uciąć, że ta droga jest bezpieczniejsza? Właściwsza? Tego nie wiem, ponieważ zawróciłem przed kluczowym miejscem, czyli na samą grań się nie wspiąłem. W każdym razie ta końcówka nie wyglądała zachęcająco.

Surykatka na lodowcu

Po ponownym związaniu się liną przechodzimy siodło i… „uwaga szczelina!" mówię do grupy z tyłu. Wprawdzie idziemy po naszych śladach, ale znów zapadają mi się nogi. Lina łącząca mnie z idącą jako drugą Agness jest napięta. Idę czując lekki opór, jednak nie przeszkadza mi to. Zapewnia to nam większe bezpieczeństwo. Opór nagle staje się na tyle silny, że nie jestem w stanie zrobić kroku. Odwracam się i… widzę Jacka i Sławka. Agness nie ma. Przedziwne uczucie! Było nas czworo a nagle jest nas trzech. Jacek mówi, że Agness zniknęła jak spławik. Kto łowił ryby ten wie jak. Wołam raz i drugi ale odpowiada mi cisza. Tylko lina wychodząca ode mnie i Jacka wskazuje, gdzie może nasza koleżanka się znajdować. Dlaczego jednak nie odkrzyknie? Nagle, w zupełnie zadziwiający sposób Agness wyskakuje spod śniegu. Szczerzy do mnie zęby w uśmiechu, po czym widzi moją minę (w pierwszej chwili pomyślałem, że sobie jaja robiła i się schowała, więc zamierzałem ją opier…) i tłumaczy się, że wpadła do szczeliny. Co ciekawe – pomimo, że była tuż pod powierzchnią lodowca kompletnie nie słyszała mojego wołania. Po oswobodzeniu

wygiętej przez idącą do nas linę ręki, Aga zapierając się rakami samodzielnie wydostała się na powierzchnię. Lina też zrobiła swoje, bo nie pozwoliła jej wpaść głębiej. A było gdzie wpadać.

Na uwagę zasługuje fakt, że w całej tej akcji wszyscy zachowali zimną krew. Jacek przez cały czas na spokojnie asekurował liną naszą Surykatkę, która z opanowaniem opracowywała plan „powrotu". A Sławek… z ani przez chwilę nie słabnącym poczuciem humoru miał z nas po prostu ubaw.

Powrót

Dalsza część drogi – porównując do opisanych przygód nie charakteryzowała się niczym szczególnym. Choć warto wspomnieć, że zeszliśmy nieco inną trasą (patrz mapka), ponieważ po lodowcu płynęły już o tej porze liczne strumienie i wodospady. Po odkrytych skałach zeszliśmy najniżej jak się dało, po czym po lodowym stoku dotarliśmy do wypłaszczenia, przez które przebiega szlak od Hochfeilerhuette do Untere Weißzintscharte. Oczywiście słowo „szlak" jest tu mocno na wyrost, jednak ta część lodowca pozbawiona jest śniegu i ukrytych szczelin. Dodatkowo przemierza ją w ciągu dnia pewna ilość turystów.
Późnym popołudniem docieramy do „kurnika", czyli naszego schronu. Na dziś wystarczy.

Pisane na sucho

Humor, jaki towarzyszył podczas całego tego wyjazdu był specyficzny i zupełnie nie do oddania. To dlatego też długo nie mogłem się za tę relację zabrać. Na koniec postanowiłem, że opiszę to dosyć sucho w formie archiwizacji zdarzeń. A co do klimatów towarzyskich towarzyszącym takim wyjazdom… kto był ten wie. Kto nie był, ten może się tylko sam przekonać, ponieważ każdy wyjazd jest pod tym względem jedyny i niepowtarzalny.

– END –

Tekst – Dziku, na sucho

Zdjęcia – Dziku
Mapka – Jacek

PS. Szczyt Punta Bianca znajduje się w Alpach Zillertalskich. Wyjście miało miejsce 4-go sierpnia 2018 roku w warunkach prawdziwie letnich.

PS2. Spaliśmy tego dnia tak długo, ponieważ dzień wcześniej po całonocnej jeździe pokonaliśmy 1800 mH (z czego 1000mH z ciężkimi plecakami) i zdobyliśmy Hochfeilera – najwyższy szczyt Alp Zillertalskich o wysokości 3510 m n.p.m.

Similaun

Wstęp

Nie ma drugiej góry w Alpach, koło której kręciłbym się tak często. Nie za każdym razem jednak szczyt ten był celem priorytetowym i pewnie dlatego stanęliśmy na wierzchołku dopiero za piątym przyjazdem do Vent.

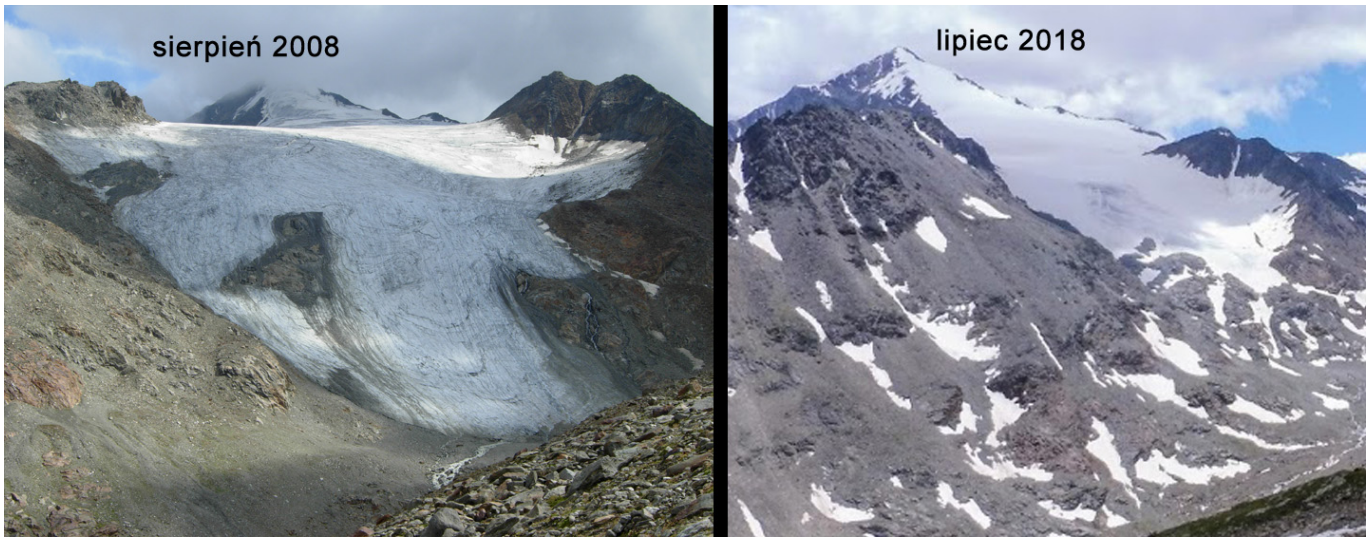
O górze pisałem już w relacji z przejścia alpejskiego szlaku E5. Niestety relacja przepadła w czeluściach Internetu i obawiam się, że nie jest już do odzyskania. Wielka szkoda. Nawet dziś chętnie bym na jej podstawie odtworzył trasę, jaką wtedy przeszliśmy startując w Niemczech, a kończąc we Włoszech.
Kolejna relacja mogłaby powstać z kilku grudniowych dni 2015-go roku, które spędziliśmy pod Similaun. Jednak wciąż jej nie napisałem.
Następna wizyta w Vent to ta z listopada 2015, opisana TUTAJ.
W 2017-tym roku wyjechaliśmy tam z dziećmi. Za cele obraliśmy sobie wtedy Wildspitze, zostawiając Similaun na „kiedy indziej”.

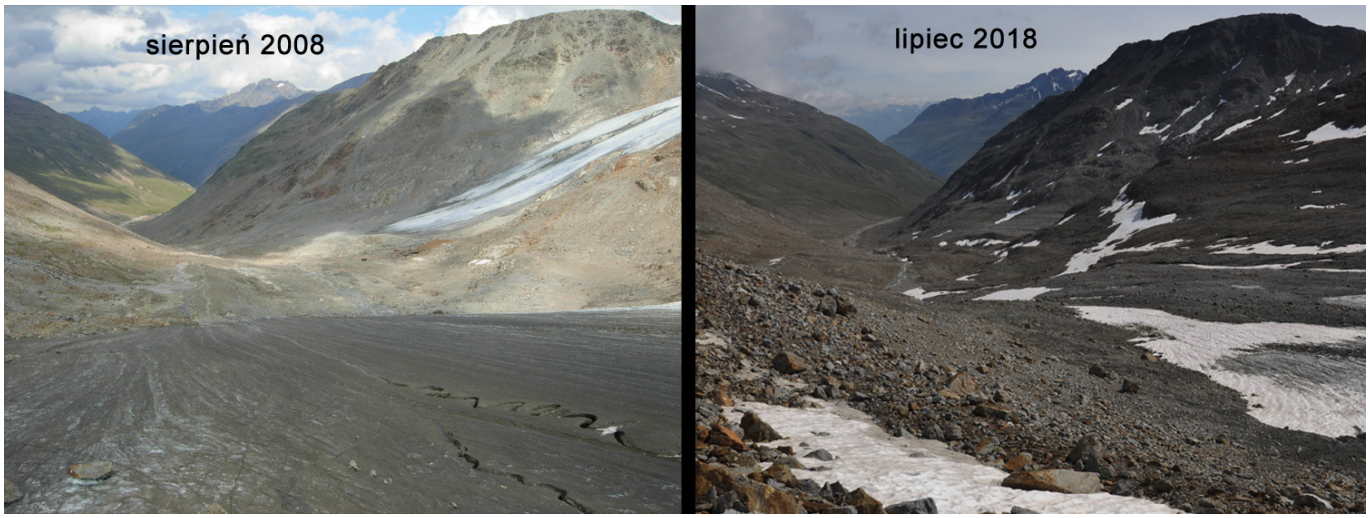


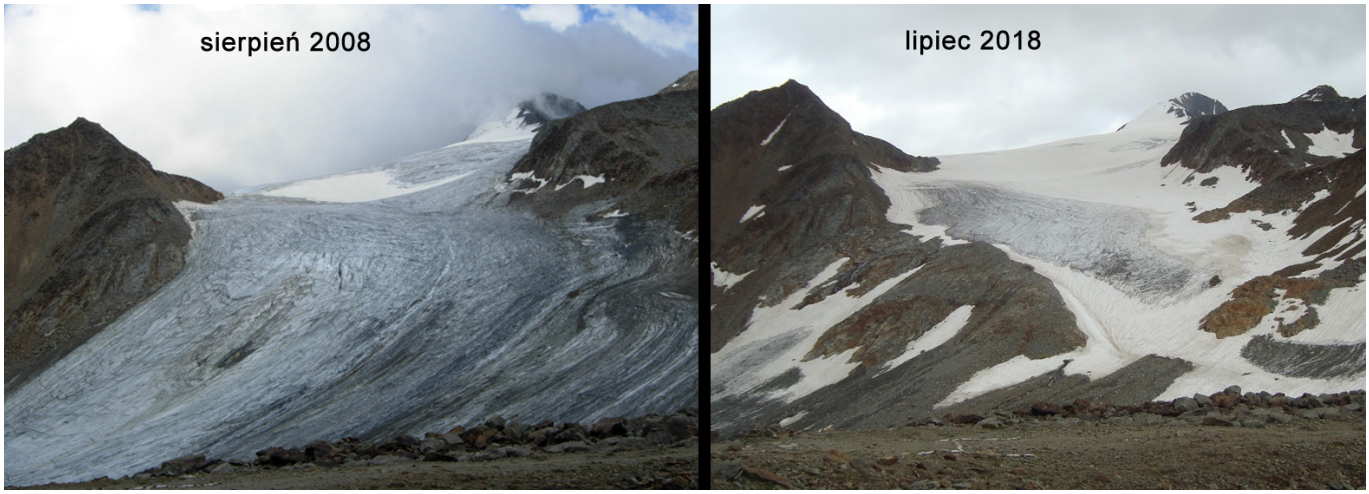
Widok ze szczytu

Lodowce w Alpach

Dopiero teraz – w lipcu 2018 – miałem okazję usiąść pod krzyżem na szczycie. Jednak to, co głównie mnie uderzyło i czym chciałem się podzielić, to porównanie stanu lodowca z tym, co widziałem w sierpniu 10 lat temu. Już wtedy mapa pokazywała, że szlak prowadzi po lodowcu. Zdziwieni, idąc skałami, obserwowaliśmy kilka zespołów na lodowcu w dolinie. Bo stary i brudny całoroczny lód był – ale znacznie poniżej szlaku. Dziś nie było już po tym lodzie nawet śladu. Tam gdzie płynęła rzeka lodu, dziś są już tylko skały. Ewentualnie gdzieniegdzie placek śniegu z ostatnich opadów. Dopiero na wysokości powyżej 3 tysięcy metrów wciąż utrzymuje się lód. Pytanie ile jeszcze lat przetrwa? 10? 20? Niesamowite, że tak znaczące zmiany są widoczne gołym okiem na przestrzeni kilku lat, a nie setek, czy tysięcy.







Trasa

Co do samej trasy na szczyt – przy doskonałej pogodzie, jaka nam się trafiła, można potraktować jako spacer. Brak wiatru, ciepło, dobra widoczność – przy takich warunkach można sobie

nawet odpuścić wyposażenie wysokogórskie. Lina spoczywała w plecaku, czekany przypięte do plecaka. Jedyna „uciążliwość” to mokry śnieg, który prawie każdemu nieco zmoczył buty. Lodowiec wyglądał niegroźnie. Kilka ciemniejszych punktów jakie widziałem, okazały się wystającymi spod śniegu kamieniami, a nie dziurami prowadzącymi do wnętrza czeluści lodowca.



Na grani niedaleko szczytu

Wysokość 3603 m n.p.m. osiągnięta. W bardzo dobrym czasie. Sprawdza się metoda „na spokojnie”, do której nie mogłem się przez całe górskie życie przekonać. Bez szarpania, podbiegania, pocenia. A jednocześnie utrzymywane równe tempo pozwoliło znacznie skracać czasy z tabliczek. Jak na jeden dzień – dosyć. Tym bardziej, że na tym wyjeździe nie będzie czasu na odpoczynek. Wracamy w dobrych humorach do obozu. Jak starczy sił to może jeszcze gdzieś jutro pójdziemy?

Tekst: Dziku



Szlak prowadzący do Vent. W tle Similaun i jego północna ściana – również niegdyś pokryta w całości lodem.

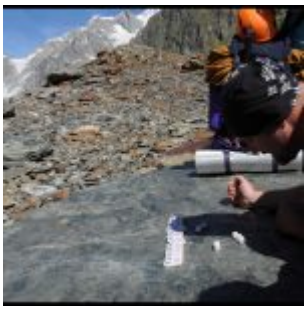
Korona Beneluksu i kolacja z Księciem



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Holandia – ucieczka przed depresją

Wyjeżdżamy rano z Larochette w Luksemburgu i ciśniemy prosto na północ, przez Belgię do Holandii. Chociaż 1/4 terytorium tego państwa znajduje się w stanie depresji, to my szukamy tam gór. Zatrzymujemy się dopiero na wierzchołku Vaalserberg. To właśnie tam znajduje się najwyżej położony punkt na terytorium

Holandii. Jego wysokość to 322 m n.p.m.
Szczyt ten uznaję już teraz za najbardziej przyjazny dzieciom ze wszystkich w Koronie Europy! Znajduje się na nim duży plac zabaw, można też tam poganiać się w labiryncie lub zjeść dobre frytki. 20 metrów od miejsca oznaczającego najwyższy punkt znajduje się trójstyk granic Holandii, Belgii i Niemiec.

Belgia – 7-tysięcznik w centrum Europy

Następnym naszym celem tego dnia jest czubek Belgii. I choć godzinę temu w Holandii Michał biegał i bawił się na najwyżej położonym placu zabaw w całym kraju, to teraz nie zamierza nawet nosa wychylić z auta. Nie dziwię się, bo temperatura na zewnątrz to jakieś 11 stopni, na dodatek paskudnie wieje. A i widoki… no takie jak na parkingu pod restauracją przy asfaltówce. Szczerze powiedziawszy spodziewałem się większych emocji po 7-tysięczniku. Ale zaraz zaraz… ktoś w programie Paint przecinek przesunął! Oszukano nas! W dodatku Signal de Botrange w rzeczywistości nie dobija nawet 700 m n.p.m. Lecz sztucznie podwyższono go usypując dodatkowe 6 metrów. Nic to, punkt zaliczony a my możemy udać się po cel nr 3 na dzisiaj – najwyższy szczyt Luksemburga. I tam to dopiero będzie akcja.

Luksemburg – skutki braku aklimatyzacji

Wcześniej na nawigacji ustawiłem punkt, w którym zdawało mi się znajdziemy nasz cel. Jednak kiedy tam dotarliśmy coś mi nie pasowało. Niby wysokość się zgadza, niby to ten cały Buurgplatz, którego szukałem, ale miał tu być w trawie kamień pomalowany na biało i go nie widzę. W dodatku Marysia puszcza pawia. Nie jestem przesądny, ale to musi coś znaczyć. Wykorzystuję koło ratunkowe i dzwonię do siostry. Asia cierpliwie szuka informacji i czyta mi na głos. Dzięki jej wskazówkom docieramy na pobliskie wzgórze. Przy największych krzakach znajduję biały punkt. Aga mi nie wierzy, „to naprawdę to?!” Pytam syna, czy wyjdzie zrobić sobie zdjęcie na szczycie. On jednoznacznie oznajmia mi, że nie jest zainteresowany. Tymczasem Marysia zaczyna cisnąć kupę. Tak, to

musi być ten najwyższy punkt, a jej reakcja jest zapewne spowodowana wysokością. Zdobyliśmy Kneiff – 560 m n.p.m.

Epilog – kolacja z księciem

Dojeżdżamy do Larochette na nasze pole kempingowe na oparach. Nie chodzi o benzynę, ale o Agi cierpliwość w zabawianiu dzieci na tylnym siedzeniu. Na dodatek tuż, tuż przed domem widzimy objazdy. Łamię zakaz i jadę na kemping przez pola (jesteśmy w Luksemburgu, więc jadę po równiutkim asfalcie, tyle, że jest wąsko, jak na dwa auta). Nie wiedziałem, że objazdy są z powodu przyjazdu książęcej pary. *Jak się okazało potem, Wielki Książę Duke Luksemburski, nie bacząc na swoje urodziny i obchody rocznicy niepodległości Luksemburga postanowił przyjechać do Larochette i wspólnie z nami uczcić zdobyte przez nas szczyty.* Na ogłoszeniach na polu kempingowym czytam: darmowe drinki i barbecue do godziny 21:30. Czyli ktoś mu podpowiedział, o której my się do łóżek kładziemy.

Niestety my już sobie odpuścimy tę fetę ze względu na dzieci. *Duke niemalże zrozpaczony, przyjmuje jeno z wdzięcznością życzenia urodzinowe i podziękowania, jakie mu sms-em wysłałem. Azaliż fatygował tu małżonkę, rad niechybnie, że nas razem poznają. Tudzież dzieci krzyczą, trza pieluchy przebrać. Na pewno zrozumie. A i nie omieszkam go do naszej Malezji zaprosić, jak będzie w okolicy. Na jajecznicę z najbardziej swojskich jajek, bo swoich.*

PS. Na pamiątkę, co gazety w tym dniu piszą: „Not getting any rest on his official birthday, Grand Duke Henri is expected here at 6pm for a procession and vin d'honneur. The Grand Duke will be joined by his wife, Grand Duchess Maria Teresa. After the Grand Ducal couple leave Larochette to join the festivities in Luxembourg city, the celebrations in the picturesque town are sure to turn more rambunctious."

No byle by nie za grand głośno było, bo trza odpocząć po zdobyciu 3 grand szczytów Korony Europy jednego grand dnia.

Michał dziś może się pochwalić w sumie 4-ma z listy (pierwsza była Litwa), a Marysia tymi właśnie trzema. Może zdążę z nimi połowę Korony zrobić zanim powiedzą stanowczo, że górami to oni zainteresowani nie są i lepiej żebym telewizor do domu kupił. Na razie nie mają wiele do powiedzenia. Właściwie, to jeszcze nie umieją mówić.

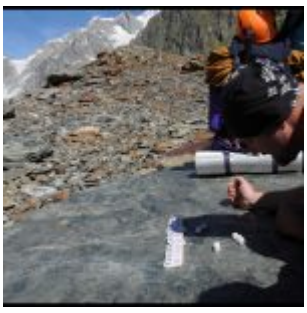
Mala Mojstrovka



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Jak już wspomniałem [link do wpisu o Ma & Mi w Alpach Julijskich – w opracowaniu], po prawie 3 latach znów mamy dziś okazję z Agą razem stanąć na szczycie. Na dodatek droga, jaką wybraliśmy sprawia nam sporo frajdy. Ale od początku:

Kolejny dzień i znów pobudka o 4-tej rano. Czy to normalne, żeby brać urlop i nastawiać budzik na tę godzinę? Tak, jeżeli chce się zdobyć górę i wrócić, zanim bobasy się obudzą. A już na pewno zanim zdążą porządnie zgłodnieć. Dlatego o 5:25 jesteśmy już gotowi do kolejnej akcji z przełęczy Vršič. Tym razem jednak naszym celem jest Mala Mojstrovka (2322 m), więc ruszamy w inną stronę doliny – w kierunku siodła Vratica. Dalej zawijamy w lewo i wzdłuż ściany podążamy po śnieżnym polu w poszukiwaniu wejścia na ferratę. Ta ścieżka to Hanzova Pot. Gęsto opisywana w Internecie więc i tym razem odpuszczę szczegóły.

Dzięki tej ferracie nauczyłem się nowego angielskiego słówka – *advisable*. Czytając opisy w Internecie przetłumaczyłem sobie w myślach zdanie „*There are a lot of steel cables and the use of a via-ferrata safety set is advisable*” jako „*jak nie będziesz miał lonży to umrzesz na śmierć*„. Po powrocie jednak sprawdziłem to raz jeszcze, ponieważ ze względu na brak opisywanych trudności lonży praktycznie nie używaliśmy. I okazało się, że słówko to oznacza „wskazany, polecany”. Z tym się zgodzę – lonżę tam należy mieć z przyczyn obiektywnych (potrącenia przez innych wspinających się, mijanki, strącane na głowę kamienie). Jednak dla osoby, która się w życiu

wspinała i będzie tam wchodzić poza sezonem może się okazać, że lonża będzie bezużyteczna.

Aga doznaje wyjątkowej przyjemności podczas wejścia. Kontakt z ciepłą, przyjemną skałą, dobre chwyty, możliwość eksperymentowania i wchodzenia z ominięciem szlaku… to coś czego dawno nie doświadczyła. Aż żal brał, gdy na szczycie znaleźliśmy się już po 2h10′ od wyjścia z parkingu.

Podczas, gdy Aga powoli schodzi drogą przez Grebenec ja podejmuję się jeszcze wejścia na Veliką Mojstrovkę. Już po 10 minutach staję na zworniku grani. Przede mną jedynie kilka minut, by przebyć odcinek szerokiej grani i po skałach wejść na właściwy szczyt. Odpuszczam jednak. Kilka minut tu, kilka tam, do tego zaczynam balansować na krawędzi. By dostać się w to miejsce przebiegłem przez siodło, czepiając się śniegu rękami dotarłem do skał, wspinałem się po kruszyźnie i wielkich blokach, czasem wracałem by poszukać innej drogi. Zbyt duży pośpiech, zbyt dużo śniegu, brak widocznego szlaku. Decyduję się schodzić i dogonić Agę. Zbiegam po stromym polu śnieżnym do piargów, tu wpadam w poślizg i jadę kilka metrów po skalnych płytach w dół. Obyło się bez poważnych uszkodzeń. A kiedyś się zacznę oszczędzać, ale to kiedyś.

Przy aucie jesteśmy po 3h30′ od wyjścia. To dobry czas. Szczególne brawa dla Agi, która nie miała w ostatnich latach zbyt wielu okazji do wspinaczki. Jak widać, jednak nic jej nie przeszkodziło w utrzymaniu kondycji i mentalnego parcia na góry.

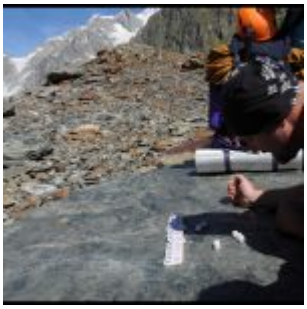
Prisojnik



Mont Blanc od południowej strony



Schronisko na skałach – nasz cel na dziś



Gry towarzyskie na lodowcu



Obejść? Przeskoczyć? Przesunąć!



Zaznaczona mniej więcej trasa i miejsca, gdzie spaliśmy – schron i lodowiec pod samą przełęczą



Jeden z lodowców na stokach Mont Blanc



Lodowa rzeka spływa z gór



Lodowiec Miage w swej okazałości – duży, długi i paskudny. Widok z drogi do Gonella



Ekipa na skałach



Grzechu na podejściu do Gonella



Hmm, gdzieś tu w labiryncie szczelin musimy odnaleźć drogę



Gry towarzyskie w schronie Gonella



Przed rozbiciem namiotów – czy tu będzie bezpiecznie?



Luuzik – przy kamyku bezpiecznie



Widok z namiotu



Aga podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięta



Grzechu podczas zwiadu – jak zwykle uśmiechnięty



Para wspinaczy na Bionassey



Bionassey nazwaliśmy Beyonce



Ludzie na takim lodowcu to drobinki



Czasem przymroziło



Znajomy widok… miejsce obozu niemal to samo co w 2009



Księżyc oświetla nasze ślady



Ekipa o świcie



Krajobraz księżycowy



Aga i Grzechu w drodze na szczyt granią Bossons



4808 m n.p.m.



Reprezentacja z Malerzowa na „dachu Europy”



W komplecie na szczycie



To poślizgnięcie na grani mogło być pechowe. Tu na szczęście nie doszło do upadku



Marcin wskazuje na szczyt Mont Blanc (4808), skąd właśnie zeszliśmy



Schodzimy do kluczowego miejsca, gdzie stok będzie nam wykręcać kostki

Wypad na ten atrakcyjny szczyt Alp Julijskich był częścią kolejnego rodzinnego wypadu, szerzej opisanego tutaj [link do uzupełnienia]

Prisojnik drogą przez Kopiscar Pot

W czwartek pobudka o 4-tej rano i jedziemy z Dawidem na przełęcz Vršič, by zdobyć tego dnia Prisojnik (2547 m). Wchodzimy szlakiem Kopiscar Pot, drogą pełną sztucznych ułatwień (via ferrata). Dokładnego opisu trasy sobie oszczędzę ponieważ relacji z tego bardzo popularnego szlaku jest w sieci sporo. Ja sam zresztą górę tę wybrałem zainspirowany relacją Skadi (tej na grani). I to już powinno mnie napawać lękiem, ponieważ raz już pojechaliśmy bazując na relacji Skadi. Ze szczytu wróciliśmy wtedy helikopterem.

I tym razem nie obeszło się zupełnie bez problemów. A wszystko z powodu zalegającego w żlebach śniegu. Zaznaczę, że byliśmy tam 31-go maja i byliśmy tam sami. Przebieg szlaku wcale nie był taki oczywisty, Przy pierwszym większym polu śnieżnym straciliśmy z 10 minut kręcąc się to tu, to tam i wypatrując czerwonych kropek na skałach wokół nas. Było to tuż przed wejściem na grzbiet, który od prawej strony wprowadza w trudniejsze partie ściany, gdzie zmagać się trzeba z przewieszonym kominem oraz ciasnym przejściem pod okapem.

Przy drugim polu śnieżnym – niedaleko okna – trzeba było trochę więcej pogłówkować. Po stromym zboczu pokrytym kilkumetrową warstwą śniegu wspinałem się dwukrotnie. Najpierw – od ostatniej widocznej na skale kropki ruszam na czuja w górę wydeptując stopnie krawędzią buta. Dochodzę do stromej skałki i wspinam się nią przez chwilę. Potem schodzę nieco, by zobaczyć czy jestem w stanie pokonać tę samą drogę na dół na wypadek wycofu. Test wypadł pozytywnie więc raz jeszcze podchodzę wyżej. Nigdzie jednak nie widzę stalowych lin i oznaczeń szlaku. W pewnym momencie uświadamiam sobie gdzie się znajdę jeśli się poślizgnę i po cichu mówię do siebie: „Dobra, starczy, ja mam dzieci”. Schodzę do Dawida, by podjąć decyzję

co dalej. Spodziewam się krótkiego „wracamy” i to by wystarczyło. Jednak Dawid mówi „ustalmy sobie deadline czasowy i spróbujmy w górę”. Czemu nie? Schodząc ten stok wydał mi się mniej pochyły niż przedtem. Jakoś tak się z nim oswoiłem. Zmarznięte na kość dłonie zdążyły się rozgrzać, więc raz jeszcze wczepiamy pazury w śnieg i zdobywamy wysokość. Warto było, bo za kolejną skałą ukazują nam się druty. Jesteśmy na szlaku!

Skałami, przy samej krawędzi podchodzimy do Okna. O oknie chciałbym coś napisać. Tylko, że nie znam słów, które mogłyby ten twór właściwie opisać. Żadne zdjęcie, jakie widziałem w Internecie, ani żaden opis nie oddaje skali. Jest to coś absolutnie wyjątkowego i sam ten punkt jest wystarczającym powodem by wspiąć się na Prisojnik właśnie tą drogą.

Po wyjściu z okna kierujemy się w lewo i wspinamy się na grań. Podążamy nią do samego szczytu. Odcinek obfituje w piękne widoki, jednak sam szlak w porównaniu do ferraty jest dość nużący.

Na szczycie stajemy po 3h15′ od wyjścia z przełęczy. Smak zwycięstwa osłodziła Cola, którą znalazłem na parkingu. Sam bym się wahał kupić to świństwo, ale jak sama wpada w ręce, ledwo nadpita, przez noc schłodzona… [beknięcie]

Muszę w tym miejscu dodać, że wykręciliśmy taki wynik z dużym wysiłkiem. To nie był spacer a raczej z trening z czasówką. Pewnie można było jeszcze urwać minuty, gdyby nie szukanie szlaku pod śniegiem. Ale nie czarujmy się – w sezonie, gdy nie ma śniegu pojawiają się tam tłumy i wtedy na pewno podobny czas jest jeszcze trudniej uzyskać. Dlatego – dla bezpieczeństwa lepiej założyć takie czasy, jakie podają w opisach, czyli nawet 8-9 h na całość (uwzględniając w tym czas powrotu na przełęcz).

Na drogę zejścia wybraliśmy normalny szlak, czyli ten, który po przejściu przez okno odbijał w prawo. Całość, z „biwakami”,

pobyciem na szycie i powrotem do auta zajęła nam 5h20′. Imponująco (wyłączyłem komentarze pod wpisami więc sam nas pochwalę) – brawo!

Dziku, a Dawid powiedzial…

(Zdjęcie powyżej – Aga toruje w głębokim mchu)

Wspinaczka a człapanie

W piękny, wiosenny dzień wybraliśmy się z Aga wspinać w skalach. Pol żartem a pół serio napiszę, że było to dla nas coś wyjątkowego. Bo to, co do tej pory w górach uprawialiśmy, to głównie człapanie. Człapiemy latem, zima, po skalach, po lodowcu, na 3, 4 a nawet na 7 tysiącach metrów.

Prawdziwie wspinaczkowa, kilku-wyciągową drogę zrobiłem raz w życiu – na Blauspitz (relacji wciąż brak). W dodatku drogę tę w całości poprowadził Dawid. Nie dziwota wiec, że kiedy wchodziliśmy w większe trudności to zaczynał się spór o to, jak wyblinka wygląda. W efekcie otrzymywaliśmy z reguły coś, co można było nazwać ćwierćwyblinką.



Wejście na Blauspitz – wrzesień 2016

To często dziwi tych, co mnie o te nasze „wspinaczki” przepytują. Jak to się nie wspinamy? To co tam my niby robimy? Dlatego opiszę teraz jaka jest na dzień dzisiejszy definicja „wspinaczki” wg Dzika.

Prawdziwy wspinacz jest chudy i nieogolony. Wspina się jedynie w letnie, słoneczne dni. Pozostałe dni spędza na sztucznej ściance. Przymierza się tam do trudniejszych chwytów, najczęściej jednak boulderuje. Pełna piersią wdycha chmury magnezji.

W terenie zaś, pod skałę przychodzi w towarzystwie jednej lub dwóch dziewczyn. Ma na sobie koszulkę z podwiniętymi rękawkami oraz obcisłe spodnie. Przegląda topo, asekuruje na łatwych drogach koleżanki, a sam przymierza się jedynie do dróg, których przejść nie sposób. Jeśli zdarzy mu się jakąś od niechcenia przejść to cmoka i oznajmia, że droga powinna mieć

wyższa wycenę, niż ma w opisie.
Zresztą te drogi, na które chciał dziś wchodzić są wszystkie akurat zajęte przez osoby bez wystarczających umiejętności.
Bo bez względu na zaangażowanie we wspinaczkę jest cały czas świadom tego, co się wokół dzieje. Widzi, jak inni z trudem próbują pokonać drogi, których wycena w opisie jest zdecydowanie zawyżona.

Najwyższym stopniem wtajemniczenia we wspinaczce skałkowej mogą pochwalić się instruktorzy. Ci zapytani (lub nie) o dowolny aspekt związany z techniką i sprzętem zapewnią (ale nie uzasadnią), że tylko ich technika jest właściwa a wszyscy inni proszą się o wypadek lub śmierć.

Przygoda na Trzech Kopkach

Chcąc zakosztować nieco tego uczucia bycia prawdziwym wspinaczem wybraliśmy się w słoneczny kwietniowy weekend w skały. Żywej duszy tam nie spotkaliśmy. Dzięki temu nikt nie widział, jak wchodzimy z wielkim wysiłkiem na drogi o wycenie 4 i 4+. *Oczywiście drogi te są wg opisu źle wycenione, gdyż wg mnie wraz z postępującym cofaniem się lodowca dziś te drogi powinny mieć znacznie wyższa wycenę – co najmniej 6m (oznaczenie grubości warstwy mchu na skale)*.

Samo ogarnianie dróg i szpeju szło nam całkiem sprawnie. Może dlatego, ze wszelkie potencjalne spory rozwiązywaliśmy zaczynając zdanie od „Dawid powiedział” albo kończąc „bo powiem Dawidowi”. To ucinało wszelkie dyskusje, bo Dawid, któremu pokazywaliśmy pod Linardem jak buchtować linę, dziś stał się naszym wspinaczkowym mentorem.
Nie dlatego, że przekonał nas, że jego sposoby są najlepsze. Raczej dlatego, ze nam najnormalniej w świecie po ludzku wstyd się robi, kiedy nas uświadamia, jak bardzo ograniczamy sami siebie uporczywie trzymając się obecnej taktyki.

Taktykę te celnie skomentował napotkany przewodnik pod Gerlachem: „Z pogardą dla sprzętu”.

Dziku



Wspinam się dla pięknych widoków

Solówka, hamak i zrypa od Gryllsa

Po zdobyciu z Michałem rano Biskupiej Kopy i po imprezie urodzinowej chrześnicy jadę z powrotem w Góry Opawskie. O 18-tej jestem znów w Czechach, przebieram buty, zarzucam plecak na plecy i ruszam w trasę. Cele: a) przetestować kolano, które znów się odezwało, kiedy schodziliśmy ostatnio ze Śnieżnika, b) przetestować wydolność po wielomiesięcznym bezwysiłkowym letargu i po odbytej 3 tygodnie temu operacji FESS, c) przetestować hamak, d) przetestować orientację w terenie oraz e) przetestować syna w sytuacji, kiedy to pierwszy raz został na noc sam u cioci (lub też przetestować, jak sobie w tej sytuacji poradzi ciocia).

Trasa, którą wybrałem wynosiła około 30km długości, a na jej pokonanie miałem jedynie wieczór i poranek. Po drodze zaplanowałem nocleg w hamaku, czego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Start – Ondrejovice

Szlak prowadzi w kierunku miejscowości Rejviz. Gdzieś zaraz za Ondrejovicami odbija nieco od asfaltu, jednak przeoczyłem to zejście. Po krótkim czasie decyduję się jednak wejść na grzbiet „na strzałkę". Wydaje mi się nawet, że widzę na drzewie z daleka zielony znak. Rzeczywiście szybko natrafiam na właściwy szlak i tak jak za pierwszym razem tak i później okaże się, że intuicja mnie na tym wyjeździe nie zawiedzie. W tym miejscu przypomina mi się kolano. Boję się, że przekreśli ono cały plan. Wymyślam sobie teorię, że to tkwi jedynie w mojej głowie i muszę przestać o tym myśleć. Wyciągam stary odtwarzacz mp3, który spędził ostatnie lata w kartoniku w piwnicy. Zgodnie z poleceniem Schillera odprężam się i wraz z zaproszonymi wokalistami (szczególnie miło wspominam Moya Brennan) daję się zabrać w wyjątkową podróż.

Pierwszy wiatrołom

Niedaleko Rejviz wchodzę w wiatrołom. Duże pole, które wcześniej było lasem, a teraz jest wyścielane powyrywanymi drzewami. Nie sposób odnaleźć tu oznaczeń szlaku. Przechodzę na wyczucie na drugą stronę, jednak trochę zbaczam z obranego kierunku z powodu płotu. Szlaku nie znalazłem ale w orientacji pomaga zachodzące słońce więc odbijam we właściwym kierunku. Przez kolejny kilometr idę przez las bez żadnej drogi. Wychodzę na pole i po jego przecięciu jestem między domami w Rejviz, czyli znów na właściwej trasie. Po kilkuset metrach odbijam żółtym szlakiem na południe.

Ciemność widzę

W ostatnich promieniach słońca obserwuję panoramę i zaczyna się robić naprawdę ciekawie. Widoczne odległe wzgórza i grzbiety są na mojej trasie… na dziś! Największe wyzwanie to czuję, że nastąpi teraz na żółtym szlaku. Gdzieś tam mam odbić z żółtego na zielony. Po pierwsze będzie już zupełnie ciemno, po drugie moja mapa akurat tego obszaru nie obejmuje, no a po trzecie będzie to za ok. 6,5km, czyli jest to dystans, na którym ciężko utrzymać 100% skupienia. Aha i po czwarte – nie zabrałem kompasu. Z początku gnam jeszcze bez czołówki, dzięki resztkom światła mogę podziwiać wyjątkowy szlak. Prowadzi on przez soczyście zielony, wilgotny i porośnięty mchem las. To jedno z tych poznanych podczas tego marszu miejsc, które wydają się pochodzić z bajki. W ciemnym lesie powyżej zapalam czołówkę. Z mroku wychwytuję niewielkie znaczki namalowane na drzewach.

Hobbit

Skrzyżowanie z zielonym ciężko byłoby przeoczyć. Wchodzę na ostatni 4 kilometrowy odcinek i już wiem, że jestem w domu. Niepokoi nieco fakt, że od dłuższego czasu znajduję się na wysokości powyżej 900 m n.p.m. i z tej wysokości już dziś nie zejdę. Szlak momentami jest pokryty lodem a po bokach zalegają śnieżne zaspy. Nie przypomina to zbytnio tropikalnego klimatu

i nie jestem pewien, czy decyzja o spaniu w hamaku była przemyślana. Ale póki co muszę maszerować, a trudności jak się okazało się spiętrzyły – w postaci drzew. Wychodzę na obszar pokryty powyrywanymi z korzeniami potężnymi sosnami. Próbuję utrzymać kierunek więc przechodzę pod jednym wielkim pniem, dochodzę do kolejnych, których nie sposób pokonać. Z jednej strony potężne korzenie, tworzące z ziemią parokrotnie ode mnie wyższą zaporę. Z drugiej strony połączone korony – również nie do przejścia. Przypomina mi się historia o hobbitach. Czuję się malutki w niezwykłym, baśniowym świecie. Decyzję podejmuję taką, że wracam do początku i obchodzę wiatrołom dookoła. Gdy dochodzę do lasu po przeciwnej stronie szczęśliwie odnajduję znaki na drzewach i dalej podążam zielonym szlakiem. Podczas tej przygody ściągnąłem słuchawki (onieśmielony tym co widziałem i czułem) i teraz zakładam je z powrotem. Na jednej nie ma gumki! Przyjmuję na pewniaka, że musiała spaść przed chwilą. Schylam się i na podkurczonych nogach idę lasem i w świetle czołówki szukam czarnej gumki wielkości ziarenka kukurydzy. Po kilku metrach o dziwo ją znajduję.

Ruiny

Od przejścia wiatrołomu jestem jak w jakimś transie. Na dodatek teraz dochodzę do innego klimatycznego miejsca – ruin zamku Kobrstejn. Tu chcę przenocować. Jest świetne miejsce na ognisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że dobrze by było się rozgrzać ale nie zabrałem zapałek. Za to są skały, są przepaście, jest odlot. Patrzę na czarne wzgórza, lasy i światła okolicznych miejscowości. Świecę w dół a tam pionowe urwisko. Myślałem do tej pory, że stoję w najwyższym miejscu, ale przeczytałem o 9-metrowej wieży więc się rozglądam i… nade mną widzę skalną budowlę. Uczucie przytłaczające, ciemna noc potęguje wrażenie. Czuję coś jakby strach, jednocześnie cieszę się, że tu jestem.

Nocleg i szkoła przetrwania

Tuż obok ruin szukam odpowiednich drzew (w lesie jest ich sporo – ot, taka odkrywcza myśl) i rozkładam hamak. Idzie mi to topornie. Jeden rep za długi a taśma trochę za krótka. Mógłbym przyciąć jedno i dowiązać do drugiego ale nie zabrałem noża. I to by było tyle, jeśli chodzi o moje przygotowanie do survivalu. Przed oczami mam twarz Bear Gryllsa patrzącego na mnie z okładki książki „Szkoła przetrwania". Wyruszyłem w długą trasę z noclegiem w lesie i nie zabrałem a) komapsu, b) zapałek, c) noża. Mam za to odtwarzacz mp3 oraz banana.
Wracając do hamaku – rozłożyłem go na stromym zboczu z wejściem od strony spadku, czyli bez sensu. W pierwszej chwili chcę tak to zostawić, ale wyobraziłem sobie, jak idę na drugi dzień 15 km ze złamanym obojczykiem. Szybko znalazłem lepsze miejsce i położyłem się spać.

Poranek

Muszę przyznać, że się całkiem dobrze wyspałem i widzę wiele zalet w spaniu w hamaku. Jest lekki, szybko się rozkłada, składa, łatwo znaleźć odpowiednie miejsce i nie trzeba szukać płaskiego kawałka ziemi. Ma jednak niewątpliwie jedną wadę: od spodu jest zimno. Może znajdę na to jakiś patent a może wystarczyło zabrać puchowy śpiwór. Jednak wydaje mi się, że śpiwór niewiele by pomógł, bo i tak byłby od spodu zgnieciony, czyli bez izolacji. Zwijam biwak w kulkę i wrzucam do plecaka. Jeszcze obejrzę ruiny o poranku i o 6-tej ruszam na szlak.

Powrót

Kolejne 15km, jakie zostało mi do pokonania to mieszanka pięknych widoków, szlaków i wspomnień, bo wkrótce dochodzę do znajomej części szlaku. Byłem tam co najmniej dwukrotnie i to również zimą, kiedy zdobywałem Pricny Vrh. Za pierwszym razem podczas ekspresowej Zimowej Korony Sudetów. Za drugim zaś razem, kiedy to zrobiłem sobie w tamtej okolicy podobną samotną wyrypę. Było to dokładnie w tym samym czasie, ale warunki jakże skrajnie odmienne! Wtedy (6-go kwietnia)

torowałem w głębokim śniegu a dziś (8-go kwietnia) idę w warunkach niemal letnich.

Podsumowanie

Dzień pierwszy to przebyte ponad 16km w zaledwie 3h z paroma minutami. Dzień drugi to nieco ponad 15km w 3h i 10 minut. Jeśli chodzi o przewyższenie to całość wynosiła około 1150mH w górę i podobnie w dół. Kolano się odzywało, ale ewidentnie jest lepiej. Setki powtórzeń w przysiadach na piłce prawdopodobnie dają efekt. No i drożność w obydwóch dziurkach w nosie taka, że jak spałem to się igliwie podnosiło pod hamakiem do góry.

Pozdrawiam
Dziku Maniak

ps. Bear Grylls jak to przeczyta to poczyni wpis na Twitterze: „Dziku, mi jest po prostu tak po ludzku przykro”.

Alfą Romeo na Biskupią Kopę

W weekend Michał namówił mnie na szybki wypad na Biskupią Kopę. Co więcej – wyjazd miał być męski, czyli bez udziału osób, których imiona kończą się na literę „a”. I tak też się stało – w podróż udał się ojciec z synem. A ponieważ mamy w tamtej okolicy zaplecze, to uknułem niecny plan, ale o tym później.

W piątek wieczorem bez ociągania ruszyliśmy samochodem na południe.

W sobotę o 6:30 pobudka, śniadanie i jedziemy do Czech, by na szlak wyjść o 8-mej. Na miejscu Michał zgarnia z ziemi patyczka i zasuwa na górę, co już jest sukcesem, bo obrał

dobry kierunek. Podejście czeka nas krótkie, lecz strome. Mimo to mały chce iść sam, zresztą z nosidełka nie skorzysta wcale na tym wyjeździe. Czasami pacnie na tyłek, czasem do przodu. Za każdym razem gdy upada mówi *BAM!*. W pewnym momencie idziemy lasem bo droga jest zabłocona. Michał odgarnia patyczkiem gałązki jagód, bo go w oczy kłują. Dla mnie to wyjątkowa sytuacja, bo nigdy wcześniej nie byłem w górach z kimś, kto ma jagody na wysokości oczu.



Michałek w drodze na Biskupią Kopę

Akcja w dalszej części rozgrywała się statyczno-dynamicznie i do końca nie było wiadomo czy cel zostanie osiągnięty. Momenty zawahania miewaliśmy obaj. Niech to, jak ciężkie to było przedsięwzięcie potwierdzi fakt, że pokonanie dystansu 1,7km zabrało nam niemal 1,5 godziny. To słabe tempo mogło być spowodowane samochodzikiem, jaki ze sobą wzięliśmy, a była to Alfa Romeo (z zepsutym napędem).

Częściowo samemu, częściowo na rękach Michał mimo wszystko zdobywa swoją kolejną górę – Biskupią Kopę – o wysokości 890 m n.p.m.
Ze względu na wczesną porę podczas wejścia byliśmy na szlaku

zupełnie sami. A w zejściu Michałek wybrał najładniejszą turystkę i z obojętną miną pomachał do niej. A ta, rozradowana natychmiast do niego podeszła, zagadała i dała lizaczka. Próbowałem tego potem na innych turystkach ale mi nie wychodziło. Nie wiem jak on to robi.

Rady dla rodziców podczas podobnych wyjazdów z niespełna 2 letnim dzieckiem:
1. Jeżeli jest początek kwietnia, wiaterek i 4 stopnie to weźcie dziecku i sobie rękawiczki (był bunt gdy chciałem założyć mu w zamian zapasowe skarpetki).
2. Nie dawajcie mu czekolady w trakcie marszu jeśli nie chcecie by był od ust w dół zalany brązowym ślinotokiem.
3. Najlepiej w wcale nie dawajcie mu czekolady, ponieważ dziecko urządza bunty (nie wstanę jak mi nie dasz kolejnej kostki).
4. Zabierzcie mniej awaryjne autko niż Alfa.



Na szczycie

Po odwiezieniu Michałka do cioci zaliczyliśmy jeszcze niezłą imprezę, gdzie było mnóstwo dziewczyn. Jak zsumowałem wiek ich wszystkich oraz mój i Michałka to wyszedł remis. A potem… ruszyłem z powrotem w Góry Opawskie. Z hamakiem i twarzą Bear Gryllsa przed oczami. Ale o tym w następnej historii.

Korona Sudetów na śpiąco

Trudno w dzisiejszych czasach znaleźć wyzwanie, którego nikt się wcześniej nie podjął. Zdobywanie szczytów nocą, tyłem, rowerem, albo nocą na rowerze, w dodatku jadąc tyłem – to już było. Nawet najbardziej szalone przedsięwzięcie upada, gdy dowiadujemy się w trakcie, że ktoś już to zrobił.
Dlatego tym razem upewniliśmy się, że to, czego się podjęliśmy to pomysł całkowicie unikatowy. Projekt ten nie ma jeszcze oficjalnej nazwy ale moja rola ogranicza się w nim tylko do roli szerpy. To, o co w tym projekcie chodzi, to:

zdobycie Korony Sudetów… na śpiąco.

A ponieważ na starość spać się chce coraz mniej, Michał postanowił nie zwlekać i z projektem wystartował w 7-mym tygodniu życia.
Na pierwszy strzał poszła Ślęża, praktycznie bez przygotowania. Poszło gładko a Michał spał twardo do samego szczytu. Celowo obrał na początek górę niewymagającą.



Drzemka na Ślęży

Zaledwie tydzień później, korzystając z aklimatyzacji Michał namówił nas na Wielką Sowę. Tym razem nie było tak łatwo jak poprzednio. Niemniej akcja zakończyła się sukcesem i przed ukończeniem 2 miesięcy w dorobku swoim maluch miał już 2 góry. Zresztą w środowisku o tej akcji było głośno. Jego starszy nieco kolega skomentował to następująco: „gu-gu-gu”, co doskonale opisywało napotkane przez nas trudności.



Michał śpi w drodze na Wielką Sowę

Zmagania na Wielkiej Sowie uwiadomiły nam, że rozsądnie będzie lepiej się przygotować do kolejnych wyzwań. Latem Michał namówił nas na trening w Alpach. Był to dla niego prawdziwy obóz kondycyjny. Przespał tam dziesiątki kilometrów alpejskich szlaków. Pokonywał wiszące mosty, strome zbocza, parokrotnie przekroczył barierę 2000 m n.p.m. – i ani razu się nie przebudził.



Podczas treningu w Wysokich Taurach (Alpy)

Zainspirowani najnowszymi wydarzeniami transmitowanymi spod K2 na kolejną górę uderzyliśmy zimą. Wpierw odbyliśmy trening na Marii Śnieżnej, gdzie Michał żeby nie zmarznąć w tyłek musiał nauczyć się chodzić.



Pierwsze kroki w górach.
Mróz dobry na walkę z ospą

Następnie, już w stylu „na śpiocha” na celownik wzięliśmy kolejną górę z listy Korony Sudetów – Waligórę.
Na najwyższy szczyt Gór Kamiennych weszliśmy niespodziewanie, od tyłu. Zaskoczeni tym byli wszyscy, bo nic nie wskazywało na to, że się uda. Michał już na samym początku postanowił zmoczyć spodnie i buta, a na przebranie nic nie miał ze sobą. Potem okazało się, że szlak jest oblodzony i wybraliśmy na spacer inną drogę godząc się z tym, że Waligórę tym razem odpuścimy. Na jednym z rozdroży odbiliśmy jednak na wąską ścieżkę, która od zupełnie innej strony wyprowadziła nas pod kopułę szczytową. Tam nasza droga połączyła się z „normalnym” szlakiem i tym sposobem znaleźliśmy się na wierzchołku.



Waligóra – kolejna góra na śpiąco

Warto dodać, że na wyżej wymienionej górze była z nami jeszcze 5-cio miesięczna siostra Michałka. Nie udało mi się jej jednak uchwycić, gdyż przez całą drogę schowana była pod kurtką u mamy.

Te krótko opisane wydarzenia mają spełniać rolę swego rodzaju pamiętnika. Nie zamierzamy jednak spocząć na laurach i wkrótce mam nadzieję ukażą się kolejne odcinki z cyklu „Korona Sudetów na śpiocha”.

Dziku



Michał właśnie się przebudził i dowiedział, że szczyt, który zdobyliśmy to był Rocky Summit, a nie Broad Peak